



## Maria Nagieć

## część I z II

Sygnatura notacji: **N1579**

Data urodzenia: **01.06.1928 r.**

Data nagrania: **27.07.2021 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Olsztyn, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Adam Hlebowicz**

Czas nagrania: **część I: 66 min, część II: 49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Maria Nagieć:** Urodziłam się 1 czerwca 1928 roku w Wilnie. Rodzice mieszkali w Wilnie. Ojciec był już pracownikiem, młodszym asystentem na uniwersytecie, a matka była studentką na Wydziale Geografii. I też dorywczo pracowała jako nauczycielka. Dzieciństwo, to rodzice przenieśli się, kiedy jeszcze byłam mała, przenieśli się na przedmieście Wilna, na Antokol, gdzie wynajmowali drewniany domek w ogrodzie. Pierwsze wspomnienia z dzieciństwa to ten piękny ogród przy ulicy Piaski vis-à-vis koszar. Koszary były wybudowane przez Rosjan, ale tam już były polskie koszary. Ogród był bardzo duży, więc tam mieszkaliśmy jak na wsi. Miałam o półtora roku młodszego brata Witolda i o cztery lata młodszego brata Jerzego i o sześć lat młodszą siostrę Bernadettę. Szczęśliwe dzieciństwo spędzaliśmy na wileńskim Antokolu. Uczyli nas trochę w dzieciństwie francuskiego. Przychodziła madame na konwersacje z nimi, co skutkowało tym, że chwalą mnie dzisiaj za dobry akcent francuski, ale z francuskiego prawie nie korzystałam, bo w swojej pracy naukowej bardziej potrzebny był angielski, w którym to języku mówię z polskim akcentem i z polską wymową. Do szkoły zaczęłam chodzić do trzeciej klasy. Szkoła była bardzo blisko, więc 10 minut szło się do szkoły. To była duża szkoła, wybudowana chyba w 1930 roku, szkoła żeńska 15. i męska 29. Do tej szkoły chodziłam do 1939 roku. Skończyłam pięć klas szkoły podstawowej. W 1939 roku ojciec otrzymał kartę powołania. To było dość ciekawe, bo w 1939 roku wakacje spędzaliśmy u dziadka na wsi w miejscowości Wiazynka, w jego folwarku, czy majątku położonym na samej granicy, 30 km od Mińska. Dom stał chyba 200 metrów od linii kolejowej. To była linia kolejowa Libawa-Romny, jedna z pierwszych linii kolejowych. W czasie wakacji chodziły dwa pociągi w rok. Jakaś lokomotywa i jeden wagon. To była jakaś wymiana dyplomatyczna, przygraniczna. Tam spędzaliśmy wakacje. Ojciec był z nami i 23 sierpnia ojciec mówi: „Wiesz co, nic nie wiadomo, nic tutaj nie wiemy, żadne wiadomości nie dochodzą, co się dzieje na świecie. Ja jadę do Wilna i jutro o godzinie 11:00 będę do ciebie dzwonił do miasteczka...”, to nie był

powiat, to była gmina, „...gminnego miasteczka Radoszkowicze. O godzinie 11:00 czekaj na mnie na poczcie. Ja ci powiem, czy siedzieć do 1 września, czy wracać natychmiast do Wilna”. Zgodnie z umową mama porozumiała się z ojcem, ojciec oczywiście natychmiast powiedział: „Wracaj, natychmiast wracaj do Wiazynia i natychmiast niech ojciec daje parkę koni, żebyś zdążyła na ten pociąg o 17:00. Żadnych dyskusji, tym pociągiem o 17:00 z dziećmi, ze wszystkimi bagażami wracasz do Wilna. Przyczyna jest taka prosta, w każdej chwili może być mobilizacja. Jak będzie mobilizacja, to ty te 150 kilometrów będziesz jechała nie wiadomo jak długo”. No i mama wraca, a ojciec, jeszcze taka ciekawa rzecz była, bo idąc na pocztę, bo to był w domu telefon, ale dzwonił z poczty, żeby na pewno szybko połączyli, zaszedł do Mackiewicza. A Mackiewicz siedzi zupełnie zdruzgotany. Ojciec mówi wyobraź sobie, po raz pierwszy...

**Adam Hlebowicz:** Do „Cata” Mackiewicza, Stanisława czy Józefa?

**Maria Nagieć:** Co?

**Adam Hlebowicz:** Do „Cata” Mackiewicza, Stanisława czy Józefa?

**Maria Nagieć:** Cat był redaktorem „Słowa”, zachodzi ojciec do Cata, a Cat mówi: „Wyobraź sobie, po raz pierwszy w życiu wysłałem swojego korespondenta do Londynu. Tym korespondentem, Waclaw Zbyszewski, ja po dłuższej chwili połączyłem się i mówię: „Szybko, Wacia, dyktuj”. A on mówi: „Odebrało mi mowę”. Taka tragiczna. To już panowie wiedzą, o co chodzi. Pierwsza wiadomość była, Ribbentrop siedzi w Moskwie. Zbyszewski to podsumował „odebrało mi mowę”. Ojciec oczywiście biegiem pobiegł na pocztę główną, zadzwonił. Mama wraca te 8 kilometrów do tego folwarku, do Wiazynia i do ojca. „Ojciec, każ zakładać parkę koni”. A dziadunio mówi: „Naukowiec, coś wymyślił”. Mama krzyknęła, dziadunio się przestraszył, zdziwiony, że córka krzyczy. No i mówi do Piotra: „Zaprzęgaj parkę”. No i tak opuściliśmy Wiazyni. Dziadunio nie był jedynym człowiekiem, który nie wierzył w tak tragiczną polityczną sytuację. Mogę go trochę usprawiedliwić. No i wróciliśmy do Wilna. Wróciliśmy do Wilna, to był chyba, już można sprawdzić, 23 sierpnia. 24 sierpnia była mobilizacja, chyba się nie mylę. I o 11:00 wieczorem przyjechaliśmy do Wilna. Późno wstaliśmy. Ja przychodzę, ojciec siedzi, siedzi taki niezdecydowany, co ja mam robić, czeka na dostanie czy nie dostanie kartę powołania. No ale wreszcie mówi: „Wiesz co, co tak będę siedział niezdecydowany, idę powiosłować do AZS-u”. Wyszedł, wyszedł i po 15 minutach przylatuje postaniec, cywilny jakiś chłopak uśmiechnięty, wręcza kartę powołania. Ojciec wyszedł na ulicę, doszedł do ulicy, do ulicy Antokolskiej i widzi, że wszystkie autobusy zarekwirowane dla wojska, więc idzie do apteki, dzwoni do domu: „Czy jest już karta?”. Jest karta. No więc wraca, przebiera się, wkłada mundur. Mama usiłuje zaszyć w mundur chleb świętej Agaty, ojciec mówi: „Zostaw te jakieś tam przesady” no, ale mama chleb świętej Agaty wszyła. No i zmówiliśmy krótką modlitwę i we czwórkę, to znaczy ja i o dwa lata młodszy ode mnie brat, czy półtora młodszy, Witold, idziemy. Doszliśmy do połowy ogrodu, idziemy do furki, przez ogród idziemy, ojciec mówi: „Rękawiczki skórzane zostały na stole w stołowym pokoju”. Mama mówi: „To ja przyniosę. – Nie, nie wolno”. Takie wspomnienia zostały. Doszliśmy do Antokolskiej ulicy, od razu zatrzymuje się autobus. „Proszę bardzo, panie poruczniku, gdzie odwieźć?” „Do placu katedralnego”. Pojechaliśmy do placu katedralnego, poszliśmy do dziadunia, do Stanisława Swianiewicza, ojciec pożegnał się ze swoim ojcem. Posiedzieliśmy tam 10 minut u dziadunia. No i poszliśmy już piechotą na krótką modlitwę do Ostrej Bramy. Odmówiliśmy krótką

modlitwę i idziemy na dworzec kolejowy, bo pułk ojca, 85. Pułk Piechoty stacjonował w Nowej Wilejce. No i idziemy ulicą Ostrobramską do ulicy Dworcowej. Dochodzimy do Dworcowej, a zatrzymuje się jakiś pan na motorze. Młody człowiek zatrzymuje się i mówi: „Panie poruczniku, gdzie odwieźć?”. Spojrzał, „A, przecież my się znamy”. Tak, rzeczywiście, chodziliśmy tam na konną jazdę do 13. Pułku Piechoty. „Proszę bardzo, niech pan siada. Za 15 minut jesteśmy w dowództwie 85. Pułku Piechoty”. No i ojciec zwrócił się do nas: „Jedźcie szybko do domu, bo ja zaraz przyjadę do pułku, to z pułku do was zadzwonię”. No i rzeczywiście pojechaliśmy do domu. To dość daleko było, więc tam pewnie dorożką. Ojciec dzwoni i mówi: „Zostałem mianowany dowódcą kompanii gospodarczej. Moja kompania stoi pod Nową Wilejką w wiosce Żwirble. Możecie tam przyjść, idąc przez Las Antokolski i potem w kolonii kolejowej przez most, przekroczycie most na Wilejce i tam niedaleko dojdziecie. Omińcie miasteczko Nowa Wilejka i do wioski Żwirble przyjdziecie, tam mnie zastaniecie”. No i tak rzeczywiście się stało. W tej wiosce stacjonowało wojsko. Brat wpadł w zachwyt jak zobaczył tylu żołnierzy i jakieś tam kotły wojskowe, jakaś amunicja, jakaś broń, dużo żołnierzy. No więc ja to tam siedziałam pod chatupą i nic nie mówiłam. Zresztą bardzo ładna chatupa, drewniana. No i przez trzy dni chodziliśmy tam odwiedzać ojca. Przychodzili różni ludzie, przede wszystkim siostra przychodziła, Maria. No i następnego dnia przyszedł rektor Uniwersytetu, pan profesor Erenkroj. Jak miał na imię, nie pamiętam.

**Adam Hlebowicz:** Stefan.

**Maria Nagieć:** Stefan Erenkroj przyszedł. Bardzo długo siedział, kilkakrotnie rozmawiali i w końcu wyjechał. No i teraz mogę powiedzieć, że przed śmiercią w Londynie ojciec mnie się pytał, „Czy ty możesz zrozumieć dlaczego Erenkroj nie wystąpił o mnie do wojska? Były wszystkie dane do tego, żebym ja był ze służby wojskowej zwolniony. Byłem mianowanym profesorem, no nadzwyczajnym, ale profesorem. Samodzielnie prowadziłem wykłady. Byłem zastępcą dyrektora Instytutu Naukowo-Badawczego. Miałem czworo małych dzieci, wszystkie dane, żeby mnie wycofać z wojska. Oczywiście ja bym odmówił. Odmówił bym nie tylko ze względów honorowych, ale ze względów logicznych. Bo ja wolę się z Czerwoną Armią spotkać jako porucznik, jako skromny porucznik Pułku 85. czy 19. Dywizji Piechoty, niż jako tu profesor zajmujący się zagadnieniami państw totalitarnych”. Dlaczego? Więc ja oczywiście na to pytanie nie umiałam odpowiedzieć. Dlaczego Erenkroj tego nie zrobił? Przecież Erenkroj mógł domyślać się, że to jest gest. Zresztą pamiętam, że w czterdziestym... w 1947 roku ojciec, już mieszkając w Londynie na stałe, jeszcze chyba nie miał obywatelstwa brytyjskiego, otrzymał z Wrocławia zaproszenie na objęcie katedry. Nie pamiętam jakiej, wymyślili jakąś nazwę katedry, to nie była ekonomia polityczna, ale w każdym razie jednym z ekonomicznych przedmiotów o objęcie nawet na Uniwersytecie Wrocławskim we Wrocławiu. Nawet obiecywali mieszkanie, tej katedry. Oczywiście ojciec nie miał żadnej wątpliwości, że to jest gest, ale był bardzo usatysfakcjonowany. Bardzo piękny długi list odpisał, bo to wystąpiła Rada Wydziału Prawniczego do Senatu Uniwersyteckiego i Senat przystał tatusiowi propozycję. I tatuś senatowi, już nie pamiętam, jakie tam były nazwiska, w każdym razie bardzo odmówił i bardzo uprzejmie podziękował. Był z tego bardzo zadowolony, sprawiło mu to bardzo dużą przyjemność. Chociaż wiadomo było, inteligentni profesorowie, prawdopodobnie lwowiaci, też orientowali się, o co tu chodzi. Dlaczego Erenkroj tak postąpił? Ja się zatrzymałam na jakimś szczególe.

**Adam Hlebowicz:** A to ciekawe.

**Maria Nagieć:** Dalej takich ciekawych szczegółów już w swoim życiorysie nie widzę. – Więc ojciec poszedł na front.

**Adam Hlebowicz:** Kiedy pani tata już poszedł na wojnę, kiedy pani się z tatą spotkała?

**Maria Nagieć:** Poszedł 28. 19 Pułk, 19. Dywizja Piechoty, do której należał 85. Pułk Strzelców Wileńskich, Pułk Piechoty z Nowej Wilejki, wyruszył 28. 85. Pułk Piechoty pojechał do Mołodeczna, w Mołodecznie dołączył 86. Pułk Piechoty, potem pociąg skręcił, pojechali na południe do Lidy, tam dołączył słynny 77. Pułk Piechoty i cała 19. Dywizja pojechała na Warszawę, na zachód, minęli Warszawę, tam ojciec w książce swojej opisuje, wyładowali się w Łowiczu. No i to już dalej opisane jest w książce „W cieniu Katynia”, cały przebieg kampanii. No myśmy pożegnali się też tak trochę niefortunnie, bo to chyba było 28. To była data opuszczenia Nowej Wilejki, była tajemnicą, ale tłum ludzi przyszedł żegnać wojsko. Tak że z tych Żwirbli na dworzec kolejowy w Nowej Wilejce, na tę rampę kolejową, odprowadzał nieprawdopodobny tłum, ludzie przyszedli żegnać swoje wojsko. No i była mama, brat i ja. My siedliśmy tam na odkosie kolejowym i zasnęliśmy, siedząc na trawie. Przyszła pani sierżantowa i mówi do mamy „Proszę pani, ja wiem na pewno, że przed 4:00 rano pułk nie wyruszy. Pułk nie wyruszy. Ja biorę dzieci do siebie i prześpię się te trzy czy cztery godziny w łóżku”. No, myśmy poszli, ale spóźniliśmy. Przyszliśmy, już ojca, już pułk odjechał. Tak że nie żegnaliśmy się na dworcu kolejowym, no, ale na opustoszałej rampie stała nasza matka niezawodna. Matka była, ojciec zawsze miał do niej pretensje, że jest nieoszczędna, ale była zaradna. Nie załamывała się w żadnych trudnych sytuacjach życiowych. I jak zostaliśmy sami, to gimnazjum chyba zlikwidowano, w którym mama pracowała, ale mama dostała pracę w takim studium dla dorosłych, wykladała geografii ZSRR i jej wykłady cieszyły się wielkim powodzeniem. Masowo mieszkający w Wilnie uciekinierzy z Warszawy i z zachodu, bo do Wilna bardzo dużo przyjechało tych uciekinierów, to przychodzili słuchać tych wykładów, jeżeli nie z zainteresowania, to dlatego, żeby w jakimś ciepłym pomieszczeniu posiedzieć, bo domy w Wilnie były w większości nieogrzewane. Wilno nie było dostatecznie zaopatrzone w węgiel, a zima była ostra. No w każdym razie mamy wykłady cieszyły się powodzeniem. To już słyszałam od osób po wojnie, że były bardzo ciekawe. Rzeczywiście ja pamiętam, mama całymi nocami przygotowywała się, taką grubą monografię miała tej geografii ZSRR. No więc była zaradna. Potem też znajdowała jakieś prace. A potem, kiedy skończyły się te wykłady, to dostała pracę jako geolog pod Kownem. Tam było poszukiwanie gliny w miejscowości Palemonas. Mama jeździła na cały tydzień, na niedzielę wracała i w czerwcu, to już nie powiem 20. którego wróciła na niedzielę i już nie mogła odjechać, bo rozpoczęła się inwazja. Jak rozpoczęła się inwazja w 1941 roku, tak, jak zaczęło się bombardowanie, to poszliśmy na noc z mamą, ze wszystkimi dziećmi do kolonii wileńskiej. Bo zaczęło się bombardowanie, ale to kilka bomb spadło. Nie bombardowali Wilna długo, ale myśmy w nocy poszli i dwa dni mieszkaliśmy u sióstr Dominikanek. Bardzo nas tam gościnnie siostry przyjęły, dwa dni mieszkaliśmy u sióstr i wróciliśmy do nietkniętego mieszkania. No, ale Wilno było głodne. Od razu, znaczy jak byli Litwini, to było dobre zaopatrzenie. Jak przyszedł Niemcy, to od razu zaopatrzenie się skończyło. Były kartki, ale na kartki był tylko chleb. Ale przyszedł list od dziadunia z tego Wiazynia. „Przyjeżdżaj, ja jestem jako gutbesitzer, kierownikiem swojego majątku. Przyjeżdżaj do mnie”. No i teraz jak jechać? I tutaj pomógł taki profesor Henryk Nieudniczański, bo jego ciotka, pani Gnatowska jechała do sąsiedniego majątku i on uprosił panią Gnatowską, bo po panią Gnatowską przyjechało pięć furmanek, jak się ten jej majątek nazywał? Kacperowszczyzna. Z Kacperowszczyzny przyjechało, nie pamiętam, kilka furmanek i pani Gnatowska nas zebrała. No, ale zostawiliśmy mieszkanie, taki tam kręcił się po Wilnie kapral, który był w kompanii gospodarczej dowódcą koni. No i on się podkręcił i mama zostawiła,

żeby on pilnował pokój z kuchnią, tych rzeczy. No, to był błąd, bo on nas zdrowo okradł, ale to nieważne. Taki pan, który uratował życie wielu ludzi przy przeprawie przez Wisłę w Garwolinie. Ale uczciwym człowiekiem to on nie był, ale to nie najważniejsze. Myśmy cztery lata przesiedzieli. Dziadunio bardzo szybko przestał być dyrektorem. No, tam znaleźli się inni chętni na tę pozycję, ale Niemcy dali dziaduniowi deputat miesięczny, tak że otrzymywał kilkanaście kilogramów zboża, miał prawo do trzymania krowy, świni, kilkunastu kur, ogród i działkę na kartofle. No i mama przy nim, to było nasze źródło utrzymania.

**Adam Hlebowicz:** A w tym czasie mieliście jakieś informacje od taty?

**Maria Nagieć:** To byliśmy...

**Adam Hlebowicz:** Z 1939 roku, do końca wojny...

**Maria Nagieć:** List ostatni otrzymaliśmy w czerwcu 1941 roku z Republiki Komi. Te wszystkie listy są publikowane. No i kontakt z ojcem oczywiście się urwał. Siedzieliśmy w tym Wiazyniu. Źle nam tam nie było, chociaż w pewnym momencie było głodno w tym Wiazyniu. Nie wiem dlaczego, ale tam wiosną, myśmy tam przyjechali w 1941 roku w sierpniu. Jeszcze w sierpniu byliśmy na odpuscie. Jeżeli pan zna, to była plebania. Tam był taki ksiądz Lubianiec, bardzo znany. Ksiądz Lubianiec prowadził odpust. To jeszcze braliśmy, tak że przyjechaliśmy przed 15 sierpnia do Wiazynia. No i myśmy byli bardzo zadowoleni, bo nie trzeba iść do szkoły. Ja chodziłam na lekcje francuskiego do mojej cioci. No za dużo mnie nie nauczyła, ale tylko francuskiego mnie uczyła. I w 1942 roku powiedziałam mamie, że ja bardzo bym chciała kontynuować naukę. Mam skończonych sześć klas, więc już powinnam iść... Sześć... Tak, sześć, bo w czasie wojny chodziłam do prywatnej szkoły pani Szapowalnikowej. No i mama znalazła tam taką znajomą panią, która zaczynała jeździć z Radoszkowic do Wilna w celach handlowych. No i poprosiła tę panią, pani nazywała się Bieldzikiewiczowa, to była Białorusinka. Ona była nauczycielką w Wilnie w gimnazjum handlowym, ta pani Bieldzikiewiczowa. I jej mąż był, jej mąż uczył księgowości, a ona uczyła pisanie na maszynie. On pochodził z Radoszkowic, więc oni w Radoszkowicach mieszkali. Zaradna pani Bieldzikiewiczowa doszła do wniosku, że powinna zająć się handlem Wilno-Mińsk. I mama poprosiła, żeby jadąc do Wilna, zabrała mnie ze sobą. Ona powiedziała: „Bardzo chętnie, będę się raźniej czuła w dwójkę”. No i z panią Bieldzikiewiczową, tak na zasadzie, że ona uśmiechała się i Niemcy, pojechaliśmy końmi do Krasnego, z Krasnego pani Bieldzikiewiczowa uśmiechała się do Niemców i oni nas tam brali do tego Urloubzugu. Dojechaliśmy do Wilna, w Wilnie była rodzona ciocia, ja poszłam do cioci i mówię, że ja chcę się uczyć. Niech ciocia coś wymyśli. A ciocia powiedziała tak: „Wiesz, ja mam zapas kartofli, ja mam zapas kaszy. Wujek pracuje w Urloubzugu, przyjeżdża na niedzielę i czasami przywozi gęś. Nie zawsze, ale czasami. No więc na razie mam co jeść, więc przyjeżdżaj, przyjeżdżaj dlatego, że ty umiesz przyjechać i wrócić. Więc jak zabraknie kartofli i kaszy i wujek gęsi nie przywiezie...”, bo wujek raz przywoził, raz nie przywoził. Wujek był bardzo uczciwy człowiek, ale pod względem handlu nie bardzo zaradny. No i ja w styczniu 1943 roku pojechałam już, żeby u cioci być na stałe. Bardzo mnie tam dobrze było u cioci. Ciocia mnie zapisała na różne lekcje. Dobre były lekcje arytmetyki. Pamiętam, uczyła taka pani, przychodziła do nas, ciocia ją wysoko ceniła i lubiła. Zaraz przypomnę, jak ona się nazywała. Polskiego uczyła pani Rynigerówna, na francuski chodziłam do pani Czekotowskiej. No i coś tam się uczyłam. Po dwóch tygodniach...

**Adam Hlebowicz:** Ale to były takie prywatne lekcje czy to były tajne komplety?

**Maria Nagieć:** Tak, to były prywatne lekcje, bo ja przyjechałam. Mama mi podała adresy do kogo mam się zgłosić. No i te panie mnie przyjęły na prywatne lekcje. Polski to były... dwie osoby byłyśmy, na matematykę to panna Pietruszkiewiczówna. To ciocia ją bardzo wysoko ceniła, bo ciocia była nauczycielką. Panna Pietruszkiewiczówna do nas przychodziła i miała ze mną lekcje.

**Adam Hlebowicz:** Wnuczka chyba Onufrego Pietruszkiewicza.

**Maria Nagieć:** Co?

**Adam Hlebowicz:** Ona była wnuczką Onufrego z Filomatów?

**Maria Nagieć:** Ona tego nigdy nie mówiła, ona była dobrą nauczycielką matematyki. Po wojnie była nauczycielką matematyki w Łodzi, wysoko cenioną. To wiem, słyszałam o tym. Chyba bardzo śmieszna osoba była, no ale dość taka abnegatka, ale bardzo ciocia podsłuchiwała jak ona uczy i mówiła, że to jest dobra nauczycielka i zawsze dla niej przygotowywała śniadanie. Przyjechał brat Witold, bo ja pojechałam się uczyć, a on nie, no to on też przyjechał. Przyjechał brat i ciocia to samo powiedziała. Umiesz przyjechać, jak zabraknie chleba, to będziesz umiał wrócić. No, ale ciocia mówi: „Mieszkamy teraz tutaj we czwórkę, wujek przyjeżdża raz na tydzień, a wy mieszkacie, to musimy ustalić plan pracy. Więc praca będzie...”. Ciocia natychmiast... Ciocia znała trochę litewski i ciocia jako urodzony archiwalista miała metryki, nie wiadomo dlaczego i po co, wszystkich dzieci, wszystkich swoich bratanków. Wzięła te metryki i poszła do Apelinki. Apelinka to był urząd litewski. Do Apelinki załatwić kartki, ale załatwiała kartki na cztery osoby. No i przyszła do tej Apelinki, ja stoję z boku i ciocia mówi, że mam na utrzymaniu czworo dzieci, muszę mieć kartki. Na co urzędniczka mówi, że: „Ja nie rozumiem, jak może być czworo dzieci, skoro brat mieszka z siostrą. Zameldowany jest brat, zameldowana siostra. I teraz pani melduje czworo dzieci, że to są wasze dzieci. Ja nie rozumiem, skąd te dzieci”. Na co moja ciocia bardzo inteligentnie odpowiadała, „A ja nie rozumiem, jak człowiek może zapytać człowieka, skąd są dzieci. Ja pani podaję fakt, dzieci są i ja im muszę dać jeść”. No i po takiej długiej rozmowie, to były zdolności rzadkie mojej cioci, znaczy rzadko spotykane. Ona tę urzędniczkę przekonała i urzędniczka dała nam cztery kartki żywnościowe. Jak ciocia przyniosła te cztery kartki żywnościowe, oprócz tego była kartka cioci i wujka, czyli sześć kartek żywnościowych, to ciocia powiedziała: „Teraz dzielimy obowiązki w domu. Marylka przeciera podłogę”, bo ciocia miała bardzo duże, bardzo ładne dwa pokoje. W dużym pokoju odbywały się wykłady rzadko, ale był profesor Meryłowski, kiedyś byli studenci Litwini, zbierało się kilkanaście osób i przychodzili dwa komplety. Ciocia uczyła polskiego pierwszą klasę, kilkanaście dziewcząt dwa razy w tygodniu przychodziło i piątą klasę, bo szkoły publiczne były tylko czteroklasowe. Więc piątą klasę to była klasa, w której dominował Tomek Niewodniczański. Tomek Niewodniczański, syn profesora Niewodniczańskiego. Bardzo chudy i bardzo wysoki i zawsze jak ciocia zadawała jakieś pytanie, to Tomek podnosił rękę i aż leżał na stole, żeby ciocia zauważyła, że on się zgłasza do odpowiedzi. A moim obowiązkiem było, dwa razy w tygodniu była szkoła, pierwsza klasa gimnazjum i trzy albo cztery razy w tygodniu piąta klasa szkoły powszechnej. Więc ja miałam przecierać podłogę po każdej



lekcji. To był mój obowiązek, a Witka obowiązek nosić wodę, bo to było pierwsze piętro na Ludwisarskiej ulicy, bardzo piękne mieszkanie. Z tym, że sublokatorskie. Ciocia miała dwa pokoje i nieużywaną kuchnię, bo gotowaliśmy w pokoju. Była tak zwana koza. Ja gotowałam obiad i przecierałam podłogę. Obiad, a Witek chodził do sklepu i kupował zaopatrzenie, które było na kartki. To było głupstwo, bo chleb, cukier, mąkę i kaszę bez kolejki się kupowało. Nie było kolejek. No więc Witek kupował, bardzo precyzyjnie rozdzielał cukier na cztery porcje, bo była ciocia, wujek, ja i Witek. To mieliśmy cukru pod dostatkiem, chleba pod dostatkiem, także jeszcze ciocia Żydom nosiła, ale jeszcze było mięso, które było tylko w soboty i trzeba było stać od 6:00 rano, z tym, że kolejka stała od północy w sąsiednich bramach. No więc Witek miał ten ciężki obowiązek iść o 6:00 rano, bo była godzina policyjna, od 6:00 rano do 12:00 albo do 1:00 stać w kolejce, żeby przynieść ochłapy, żeby przynieść wołowinę, na rosół, więcej kości niż mięsa oraz przepyszny litewski salceson. To w życiu nie jadłam czegoś tak wspaniałego, jak litewski salceson w czasie wojny, zdobyty przez mojego brata. No i tak u cioci sobie mieszkaliśmy. Witek, okazało się, że zupełnie nie umie pisać po polsku, więc oprócz tego, że został włączony do jakiegoś kompletu, na tym komplecie ciocia naukę niezbyt wysoko oceniała, bo to tam prowadzili profesorowie uniwersytetu. Ja byłam chyba w drugiej klasie gimnazjalnej, a on był w którejś, szóstej klasie powszechnej. No więc w następnym roku, jak przyjechaliśmy, i tak byliśmy u cioci do wakacji, na wakacje pojechaliśmy do Wiazynia i już nie było kłopotu z uzyskaniem erlaubnis, bo nad nami mieszkał pan Stanisław Stomma. Pan Stanisław Stomma był nauczycielem języka niemieckiego, na kursach w Wilnie, więc miał taką dość dobrą, jak to się nazywało, dzisiaj to się mówi fucha, w czasie okupacji. Pan szedł do urzędu i po niemiecku mówił, że tu dzieci muszą jechać, żeby załatwić im erlaubnis. Na dobry niemiecki język urzędniczka od razu nam erlaubnis wypisywała i myśmy urlaubzugiem jechali do Wiazynia, a tam był dwa kilometry od domu, może dwa i pół, przystanek kolejowy. No więc jechaliśmy spokojnie do domu, robili rewizję w walizkach, dziwili się, że w walizkach nie ma żadnych przedmiotów, żadnej słoniny, żadnych przedmiotów, które były przedmiotem handlu między Wilnem a Mińskiem. No i następnego, już 1943 roku jesienią, pojechaliśmy znów do Wilna, ale już wiedzieliśmy, że z tego pięknego mieszkania na Ludwisarskiej Niemcy ciocię wyrzucili. I ciocia dostała również ładne mieszkanie na ulicy Stefańskiej. To było mieszkanie po Żydach, blisko dworca. W tym samym domu, w tej samej klatce schodowej mieszkali. Nie, Stommowie mieszkali w tym samym mieszkaniu. Tylko byli, to było bardzo duże mieszkanie i to były sublokatorskie, Stommów i nasze. I myśmy mieszkali tam razem. No i już w 1943 roku jesienią ciocia zdecydowała z panią Stommówną, że ja będę chodziła na komplety. I chodziłam na komplety, które prowadził, dyrektorem był profesor Rojecki. On był profesorem, już nie pamiętam, czego profesor Rojecki wykładał. W każdym razie nauczycielem to on był średnim. On miał uczyć matematyki i fizyki. To był więcej niż średni nauczyciel. Natomiast były bardzo dobre lekcje z polskiego z panią Straszyńską. Dobre lekcje historii z panią Wołczacką. Na francuski chodziłam do swojej cioci, pani Czekotowskiej. Jakie tam jeszcze były lekcje? Nie było biologii. Aha, była geografia. Już nie pamiętam, jak się ta pani nazywała. W każdym razie jakieś lekcje były. I to było pięć dziewcząt. Miałyśmy mieszkanie u pani Tarasiewiczowej. Pani Tarasiewiczowej mąż zginął. Ona już chyba wiedziała, że jej mąż nie żyje. On chyba był... Według wiadomości, które ona otrzymywała, to on doszedł, wychodził z Rosji, doszedł do granicy, tej na południu, gdzie oni tam przekraczali tę granicę i umarł przed przekroczeniem granicy, ten pan Tarasiewicz. To był prawnik wileński. Uczestniczyła jej córka, Terenia Tarasiewiczówna. Już nie żyje. I jej dziadek był szewcem. Także komplety odbywały się na zapleczu zakładu szewskiego. Bardzo były to przyjemne lekcje, przyjemnych pięć dziewcząt. I tak doczekaliśmy lipca. Już inwazja zaczęła się w czerwcu. Myśmy w końcu czerwca wyjechali do Wiazynia i w Wiazyniu przeżyliśmy przyście wojsk radzieckich. To siedzieliśmy w lesie, razem ze wszystkimi mieszkańcami Wiazynia,

tylko dziadunio, ponieważ dom stał 150 czy 100 metrów od kolei. I ja to opisuję w tej książce we wstępie do wierszy mojego pradziada. To opisuję, jak Wiazyń wyglądał, bo w Wiazyniu powstawały te wiersze. Te wiersze podobno mają jakąś wartość jeszcze. Lada dzień będą wysłane do recenzji, bo mają być wydane w wydawnictwie Uniwersytetu, naszego, Warmińsko-Mazurskiego. Zresztą Kasparyk kieruje tym wydawnictwem, bezpośrednio jego doktorant ze mną współpracuje. Zresztą bardzo inteligentny chłopak, ten doktorant, i pan Klembert. No i siedzieliśmy, rano już, 2 lipca już było wojsko radzieckie. Przesiedzieliśmy, przespaliśmy spokojnie w lesie. Ale już z gospodarstwa niemieckiego, gospodarstwa rolnego, już był Wiazyń przekształcony na kołchoz imienia Janki Kupały. Początkowo dyrektor-ką była córka jednego z pracowników, która część życia spędziła w partyzantce radzieckiej. Ale to nieważne. Mama zdecydowała, że już nie wraca do domu wiazyńskiego, tylko pójdzie do kaplicy w Górnowiczach. W Górnowiczach, to tam dwa kilometry od Wiazynia, może trzy kilometry od Wiazynia, tacy Rosjanie, pan Romanow, pan Metody Romanow i pani Olimpiada Romanowa przeszli na katolicyzm. Pan Romanow, to była decyzja pana Romanowa. Pan Romanow skończył w Niemczech studia i w okresie przed I wojną światową był nadleśniczym w Białowieży i po I wojnie dalej był nadleśniczym w Białowieży, ale gdzieś w połowie, w 20. latach przeszedł na emeryturę. I zdecydował, że resztę życia powinien poświęcić na ratowanie Rosji jako Rosjanin. I jako Rosjanin wymyślił, że na granicy polsko-rosyjskiej wybuduje kościół. I że najpierw wybuduje kaplicę i wybudował tę piękną kaplicę drewnianą. Połowę kaplicy zajmowała kaplica, połowę kaplicy było mieszkanie państwo Romanowych. I pan Romanow, no i oni tam oczywiście siedzieli. I pan Romanow modlił się. Pan Romanow, ksiądz przyjeżdżał raz na tydzień, a codziennie pan Romanow po południu prowadził nabożeństwo i grał na filharmonii. Bardzo ładnie grał na filharmonii. No oczywiście jak przyszli Sowieci w 1939 roku, to pan Romanow był jeden z pierwszych, których aresztowano. I pan Romanow ostatni okres, dziadunio trochę później był aresztowany. No i jednocześnie ich zwolnili. Zwolnili, znaczy jak przyszli Niemcy, ich nie zwolnili, oni uciekli. To też ciekawa historia, bo oni siedzieli w więzieniu miejscowości Zasław. Mój dziadunio i pan Romanow, dziadunio Józef Zambrzycki. I były tak zwane marsze śmierci. Wszystkich więźniów goniono na wschód. I ich też wygnano. To już były ostatnie dni lipca. Już nie pamiętam, kiedy tam Niemcy przyszli do Mińska. Zresztą Mińsk był bardzo zbombardowany w przeciwieństwie do Wilna. I ich na wschód gonili. Do pewnego miejsca ich dogonili. W lesie. No i rozdali łopaty do lasu, żeby kopali sobie grób. No że więźniowie sami sobie kopią grób, to była metoda. Stara, przyjęta radziecka metoda. No, więc jak oni zaczęli kopać ten grób, to wszyscy płakali. Nie płakał tylko dziadunio, bo miał swoje 82, czy dziadunio był w 1860 roku urodzony, to miał 81 czy 82 lata. Już swoje przeżył w życiu. Bardzo rozmaite miał przeżycia i za carskich czasów. Tak że dziadunio nie płakał. I była jedyna kobieta z nimi. Prosta, białoruska baba. Ona też nie płakała. No i tych dwoje nie płakało. Jak im powiedzieli, ustawiajcie się teraz tu nad tym grobem, to kobieta dzikim głosem wrzasnęła, „ja datżna pamierać w wianczalnej płatii”, „ja muszę umierać w ślubnej sukni”. To nawet moja mama etnografią się zajmowała. Takie ciekawe etnograficzne zwyczaje. Ta baba, niepiśmienna, prosta baba. I jednocześnie niskim lotem nadleciała eskadra samolotów niemieckich. A dziadunio, który nie płakał, zauważył, że enkawudziści zbaranieli. I krzyk tej baby i ta eskadra niemieckich samolotów tuż nad samym lasem ich wybiła z pantałyku. Oni zbaranieli. I dziadunio krzyknął: „Bracia za mną”. Wskoczył w las. Wszyscy za nim pobiegli. No i w lesie odbiegli tam kilka kilometrów w głąb lasu. Patrzą, że ich nikt nie goni. No więc zgodnie wszyscy Polacy i Białorusini, kto tam jeszcze był, uklękli i pomodlili się. I tu nie było żadnych sprzeczek. Zgodnie Polacy pomodlili się. Jak pomodlili się, to dziadunio mówi: „Ja ten las bardzo dobrze znam. Ja was przeprowadzę”. Na co pan Romanow powiedział „O, głupie gadanie”. „Nas jakaś przypadkowa kula. Zobacz, że ktoś idzie i zastrzeli. Ja idę szosą”. Pan Romanow świetnie znał niemiecki, bo w Niemczech studia skoń-



czył. No i pokłócili się, ale część poszła za dziaduniem, część poszła za panem Romanowem. Pana Romanowa przypadkowa kula zastrzeliła, przynieśli. Tylko jego, tych, co on tam prowadził, inni tam doszli. No, ale domek wybudowany przez pana Romanowa stał. Więc mama doszła do wniosku, że my mamy wracać do tego kołchozu, gdzie będziemy już wrogami ludu. To zamieszkamy u pani Romanowej na razie. Myśmy poszli, mieszkaliśmy przez dwa lata u pani Romanowej. My wróciliśmy właśnie z Wilna. No i tak jeszcze u pani Romanowej mieszkaliśmy do 1946 roku. To znaczy brat otrzymał pracę, nie było co jeść. Brat był pastuchem koni. Mój brat, a ja chodziłam na roboty fizyczne. I tak utrzymywaliśmy się. Krowę nam oczywiście zabrali. Mieliśmy świnie. Świnia okazała się bardzo ratunkiem wielkim, bo to świnia rozpieszczona, hodowana w kuchni i bardzo ją lubiliśmy. Przyprawiała dwa razy do roku po 12 prosiąt. Co było utrzymaniem, bo była bardzo wysoka cena na prosiaki. Bo to wszystko było odbudowywano gospodarkę. No i my tak na utrzymaniu świni Wiktorii, mojej pracy i mojego brata, doczekaliśmy się do 1945 roku, kiedy już przez okazję przyszedł list od ojca, bo mama jeszcze się wahała, czy to jest rzecz moralna opuszczać swoje ziemie. Więc już przestała się wahać, czy to rzecz moralna.

**Adam Hlebowicz:** Co w tym liście było? Co tata napisał?

**Maria Nagieć:** W tym liście? „Natychniast przyjeżdżaj do Polski. Natychniast zgłaszaj się na wyjazd do Polski”. Napisał, że jest żywy, że mieszka w Londynie i natychniast przyjeżdżajcie wszyscy do Polski. No i mama w tej chwili poleciała piechotą z Witkiem do Rakowa. Witek już zresztą przestał pracować, zaczął bardzo chorować. Ta nocna praca wykończyła go. No i zgłosiliśmy się na wyjazd do Polski. Mieliśmy jechać przedostatnim pociągami, ostatecznie pojechaliśmy ostatnim pociągami. Przyjechaliśmy do Warszawy 4 lutego 1946 roku. I od razu zaczęła się korespondencja ożywiona. Od razu zaczęły przychodzić pieniądze od ojca. Oczywiście przez okazję. Ojciec dawał pieniądze tym, którzy zdecydowali się wracać do Polski. Od razu mieliśmy w Warszawie, w Warszawie był dobrze zorganizowany PUR, Urząd Repatriacyjny. Myśmy mieszkali na Warszawie Zachodniej. Dopiero co oddany był PUR, więc dawali bardzo smaczną zupę w południe, ale to była ograniczona ilość, a potem wieczorem, ile kto chciał, otrzymywaliśmy zupę jagodową. Zupa jagodowa to była zupa z czarnej fasoli. Jakiś import z Ameryki Południowej. No więc w Warszawie był bardzo przyjemny okres. Chodziliśmy, ja chodziłam z tym młodszym bratem, Jurkiem, zwiedzaliśmy Warszawę. Z Warszawy Zachodniej jechaliśmy tramwajem do centrum, no i zwiedzaliśmy Warszawę. A mama szukała pracy. No więc oczywiście w Warszawie pracy żadnej nie dostała, żadnych szans na mieszkanie nie było. No i koleżanki jej załatwiły, właściwie szkoda, do Torunia się starała, ale tam mieszkania nie było i załatwiła pracę w Tczewie. Jako nauczycielka i tam od razu ładne mieszkanie dostaliśmy i mieszkaliśmy. To był 1946 rok. Wiosną przenieśliśmy się do Tczewa. No wszyscy poszliśmy do szkoły. No i teraz różne propozycje były, że za 100 dolarów przewiozą za granicę. Ale... ostatecznie to był 1946 rok. Jesienią 1946 roku, późną jesienią, przyszedł list od ojca. Jakiś pan go wręczył, że ten pan miał nas przeprowadzić przez granicę. To był błąd, bo gdybyśmy w marcu w 1946 roku poszli przez zieloną granicę na zachód, to jakieś prawdopodobieństwo jeszcze było. A ci przeprowadzacze, no to była oszukańska firma. Od razu nas... pojechaliśmy do Szczecina, mieli nas przeprowadzać, tam pod Szczecinem czekaliśmy na ten transport. No i wszystkich... Ale w pierwszej fazie pojechałam ja i młodsze dzieci, trójka. A w drugim etapie, tak oni podzielili, miała jechać mama i ten starszy brat. Bardzo dobrze, bo nas aresztowali i wypuścili. A mama pojechała od razu do Warszawy, starać się, ale już nie trzeba było, bo nas wypuścili, mamy nie aresztowali, tego brata nie aresztowali. No i wróciliśmy do Tczewa, gdzie nas bardzo serdecznie przyjęto. I wcale nikt się tym

nie gorszył, że to pani profesor od geografii takie rzeczy. No i tam byliśmy, mieszkaliśmy w Tczewie. Ja w 1947 roku zdałam maturę. Brat poszedł od razu do szkoły morskiej. I z tej szkoły morskiej uciekł przez Szwecję, z Daru Pomorza. No, a my byliśmy w Polsce.

**Adam Hlebowicz:** Starszy brat, Stanisław, tak?

**Maria Nagieć:** Co?

**Adam Hlebowicz:** Starszy brat.

**Maria Nagieć:** Starszy brat, Witek.

**Adam Hlebowicz:** Witek, przepraszam.

**Maria Nagieć:** Mnie ojciec kazał iść, ja chciałam iść na filologię angielską. Żadnych lepszych przygód, właściwie nie miałam szkoły średniej. Bo ta nauka w Wilnie, w tym moim komplecie była nie do końca udana. Nie było przedmiotów przyrodniczych. No więc jak ojciec powiedział: „Jak masz iść na anglistykę, to idź na SGH”. No więc poszłam na te SGH, tam zdałam egzamin na piątkę, bo mama mnie przygotowała z geografii gospodarczej. Ale mnie się te studia nie podobały i poszłam na SGGW, na szkołę rolniczą. I skończyłam SGGW. Wspecjalizowałam się w rybactwie i już do końca pracowałam najpierw w PGR-ze rybackim, a potem po 1956 roku na uczelni, gdzie stopniowo robiłam stopnie naukowe. I jako profesor, nadzwyczajny, co prawda, przeszedłam na emeryturę w 1970... W którym roku? Przeszłam na emeryturę 20 lat temu.

**Adam Hlebowicz:** W 1979?

**Maria Nagieć:** W 1999, tak.

**Adam Hlebowicz:** A jak to było, pani profesor, z połączeniem się rodziców. Jakby pani jeszcze kilka słów powiedziała o mamie, o Olimpi.

**Maria Nagieć:** Mama pracowała w Tczewie. Tam była... Oczywiście wyrzucili ją ze szkoły średniej, chociaż Tczew ją przyjął bardzo serdecznie, wszyscy pracownicy, woźni też atencją, ale jak mamę wyrzucili, mama nawet poszła do partii, że ją wyrzucili, ale w partii powiedzieli, niech się nie denerwuje, ma pracę zapewnioną w technikum handlowym. I w tym technikum handlowym pracowała do 1956 roku, bo cały czas składała podania o wyjazd do męża. Ale oczywiście zawsze była odmowa i w 1956 roku dali jej paszport. Jak jej dali paszport, to ona jeszcze przedłużyła swój pobyt w Polsce, bo brat miał dziewczynę, siostrę, ja już byłam mężatką, siostra miała chłopca, no i mówi: „Żeńcie się. Ja wam tu wydam, was ożenię”, a Witek był u ojca. Jak ich ożeniła, to poleciała do Paryża, w Paryżu załatwiła, ponieważ ojciec był wtedy profesorem w Indonezji, więc jeszcze w Paryżu musiała przeżyć, przebyć te szczepienia tropikalne, jeszcze jakieś formalności załatwić i poleciała do Dżakarty, na Jawę, do Indonezji. – I tam była z ojcem

dwa lata.

**Adam Hlebowicz:** Ile lat się nie widzieli? 17 lat, jak dobrze liczę? W 1939 roku tata poszedł na wojnę i spotkali się w 1956, czy to było później?

**Maria Nagieć:** Nie, spotkali się w 1957 roku.

**Adam Hlebowicz:** Czyli 18 lat się nie widzieli.

**Maria Nagieć:** 18 lat nie widzieli się. Szkoła, uczniowie żegnali mamę bardzo entuzjastycznie i serdecznie. Umówili się, że mama będzie do nich pisać listy. Dostała kilkanaście adresów, oni powiedzieli, że będą się zbierać i czytać razem ten list od mamy. I tak też było. Jak uczniowie byli do niej przywiązani, to chyba cztery czy pięć lat temu odbyło się w Tczewie takie spotkanie ku czci pani Swianiewiczowej. I tam uczniowie, okazało się, że byli uczniowie, którzy byli sierotami. Mama oprócz tego, że uczyła geografii, założyła kółko turystyczno-krajoznawcze. Organizowała wycieczki i w tym kółku turystyczno-krajoznawczym działaczami były sieroty, które wrócili z Rosji jako sieroty. Z domem dziecka. Szczególnie jeden był, to nawet profesorem został w Poznaniu na pedagogice. A drugi, który do mnie cały czas pisze listy i ma przyjechać nawet do mnie, ten uczeń, bo ten uczeń, nie przyjęli go do szkoły handlowej. Odmówili przyjęcia do szkoły handlowej. I on przyszedł z płaczem do mamy. I mama mówi: „Nie płacz, napisz odwołanie do dyrekcji szkoły handlowej i dopisz pod spodem, że odpis odwołania wysłałem do ministerstwa. I wyślij. Odpis odwołania wyślij do ministerstwa”. No i po tym zabiegu przyjęli chłopca. I okazało się, że chłopak bardzo dobrze się uczył, a potem jak skończył szkołę handlową, to mówi, że teraz chce iść na szkołę handlową w Gdańsku. Tam jest szkoła. Była i jest, jak się ona nazywa, szkoła handlowa w Gdańsku.

**Adam Hlebowicz:** Tak, ekonomiczna chyba była wtedy.

**Maria Nagieć:** I to ekonomik?

**Adam Hlebowicz:** Tak mi się wydaje, bo to jeszcze uniwersytetu nie było. Uniwersytet dopiero w 1970 roku powstał. Była Wyższa Szkoła Pedagogiczna i była chyba Wyższa Szkoła Ekonomiczna.

**Maria Nagieć:** Mówi: „Przecież ja się nie dostanę, oni mnie nie przyjmą”. Mama mówi: „Nic się nie przejmuj, będziesz do mnie przychodził na prywatne lekcje, ja cię tak nauczę geografii gospodarczej Polski, że zgłoś się na ten wydział, na którym jest wstępny egzamin z geografii gospodarczej i ty będziesz musiał zdać. A potem jak zechcesz się przenieść na inny wydział, to sobie po pierwszym roku przeniesiesz się. Ten uczeń do dnia dzisiejszego do mnie dzwoni i bardzo długo opowiada o tym, jak to on pracował na dyrektorskim stanowisku w kolejnictwie, jaki on piękny dom wybudował, jak mu się świetnie powodzi. I żebym ja nie zapomniała, jak będzie jakaś publikacja tych wierszy, które ja przygotowuję do druku, ale mama napisała bardzo dużo komentarzy. No to on czeka na to wydawnictwo i do mnie dzwoni, więc bardzo lubiana była. I to na tym zjeździe myśmy się przekonali, bo to był zjazd w gimnazjum imienia księdza Pasierba, taki był, pochodził z Tczewa, a potem był uczonym, już on nie żyje, ten Janusz Pasierb.